

Jak wam się podoba?

WITKACY

przeszajnowany

JAN KOTT

Z lewej strony na górnej galerii sterczy ogromna głowa. Bardzo jest podobna do wczesnych portretów Boya. Rusza się i przewraca oczami. W środkowej części górnej galerii zawieszony jest secesyjny zegar z wielkim wahadłem. W czasie pierwszego obłąkanego monologu Wariata wahadło zaczyna się poruszać. Wahadło także wariuje, rusza się coraz szybciej i okropnie skrzypi. Na galerycje ukazują się święci pańscy w powłóczystych szatach. Chichoczą i podglądają. Może to zresztą są apostołowie, ale kiedy zjedzą na scenę, będą Pafnucym i Alfredem, posługaczami w szpitalu wariatów.

Na samej scenie stoi piękne łóżko, ustawione na skos, z wygiętymi liniami poręczy. Jest jeszcze zydelek. Na zydelku siedzi Zakonnica. Na głowie ma ogromny kornet wygięty jak skrzydło ptaka. Spod habitu pokazuje kolana. Ma piękne kolana. Ma jeszcze dekołt. Mały dekołt, ale go widać. Główny psychoanalityk wchodzi opłataną w różową rurę. Ta różowa rura o dwóch otworach przypomina kiszki z atlasów anatomicznych.

Dzieje się jeszcze wiele dziwnych rzeczy. A najdziwniejsze nie są w tekście. Są obok, nad i poza. Wariat się wiesza. Z górnej galerii zjeżdża ogromna marioneta. Jest wypchana i obła. Ma tułów rozbraną lalki. Jeszcze później ci, którzy nie żyją, zjawiają się na galerycje. Wariat ściska swojego własnego trupa. Marioneta się podnosi, ożyła. Wszystko kończy wielka przewalająca się, gombrowiczowska kupa.

Szajna jest diabłem. Dekoracje zazwyczaj są tylko przez pierwszą minutę po podniesieniu kurtyny. Pótem nie ma już dekoracji, jest tylko miejsce akcji. I czasami światło. U Szajny dekoracje są przez cały czas. Mieszają się do akcji, są akcją. Grają swój dramat, są same dla siebie teatrem. I to teatrem zaskakującym intensywnością wyobraźni i jakąś bardzo szajnowską, bardzo zmysłową gęstością. Czy to jest teatr Witkacego? I tak, i nie.

Witkacy dzielił swoje dramaty na bardziej bebechowate czyli z tzw. treścią i czyste. Oznaczał je kółkami i krzyżykami. **Wariata i zakonnice** oraz **W małym dworku** uważał za sztukę „życiową“, z anegdotą. Ale i te, i tamte budował na dosyć podobnych zasadach. Trupy ożywają, nieboszczyki zachowują się jak żywi. Wszystkie osoby mówią tym samym witkacowskim językiem, nie cierpią pragmatystów, wymyślają na Chwistka i bardzo ich niepokoi tajemnica istnienia i jedność w wielość. Otworzone nieboszczykówy drzwi

nierczą. W sztuce Witkacego jest jeszcze matka przeorysza, wamp, hrabina i matrona w jednej osobie. Prawdziwy wamp, prawdziwa hrabina i prawdziwa matrona. W przedstawieniu nie była ani wampem, ani hrabiną, ani matroną. Była na ni-by.

- Kiedy wszyscy są wariatami, nikt nie jest wariatem. Tragifarsa przestaje istnieć. Chyba, że rozpocznie ją ktoś z widowni. Andrzej Wirth nie pisał jeszcze o **Wariacie i zakonnicy**. Odczyta ją niechybnie jako przystępną wykład anty - fideizmu, krytykę moralności zakonnicek ze sfer ziemiańskich i zapowiedź Brechta. Piśze przecież zawsze na odwirthkę.

Pierwszy raz w życiu widziałem Witkacego na scenie, i pierwsza to po wojnie poważniejsza próba scenicznej realizacji jego dramatów. Na pewno ciekawa, na pewno pobudzająca i na pewno dyskusyjna. Ale... za mało mi w niej Witkacego. Mogę się jeszcze zgodzić na nadrealistyczne buffe **Wariata i Zakonnicy**, ale w takim razie należało z zupełnie innej strony dobierać się do następnej sztuki. Wtedy dopiero eksperyment byłby pełny.

Chciałbym bardzo zobaczyć **W małym dworku** zagrane najzupełniej serio, w dekoracjach najbardziej dosłownych, najbardziej realistycznych. Na pomuro, ze śmiertelną powagą. Bo przecież to jedna z najświetniejszych parodii, i teatru, i dramaturgii. I to nie tylko Rittnera, ale przede wszystkim Przybyszewskiego. I to parodia dwu - albo trzystopniowa: stylu, obyczajów, stereotypów. Żeby wyszła, musi być prawdziwy dworek, prawdziwy ekonom, prawdziwy arystokratyczny kuzyn. I prawdziwe widmo żony. Musi trochę postraszyć.

Witkacy na pewno był wielkim prekursorem, ale dzisiaj dopiero widać, jak głęboko tkwił w młodopolszczyźnie. Buntował się przeciwko niej, parodiował ją i jej ulegał. Galeria jego postaci jest przecież niemal w całości sprzed półwiecza. Demony intelektu, demony chuci, samoudręcyciele, wampy, perwersyjne półdziewice z ziemiańskiego dworku, zakopiańskie hrabiny i wspaniali Mynherzy Peeperkorni z krakowskich knajp. I nad nimi wielka rewolucja niwelatorów, przez którą przeszli, albo przez którą przejdą.

Można Witkacego odczytywać bliżej przybyszewszczyzny albo bliżej Ionesco. Ja wolabym odczytanie bliższe Ionesco. Bardziej racjonalistyczne, suche, drapieżne. Młodopolszczyzna, która dochodzi do

W małym dworku J. Witkacego Ma 59/55

to. U Szajny dekoracje są przez cały czas. Mieszają się do akcji są akcją. Grają swój dramat, są same dla siebie teatrem. I to teatrem zaskakującym intensywnością wyobraźni i jakąś bardzo szajnowską, bardzo zmysłową gęstością. Czy to jest teatr Witkacego? I tak, i nie.

Witkacy dzielił swoje dramaty na bardziej bebehowate czyli z tzw. treścią i czyste. Oznaczał je kółkami i krzyżykami. **Wariata i zakonnice** oraz **W małym dworku** uważał za sztuki „życiowe“, z anegdotą. Ale i te, i tamte budował na dosyć podobnych zasadach. Trupy ożywają, nieboszczyce zachowują się jak żywi. Wszystkie osoby mówią tym samym witkacowskim językiem, nie cierpią pragmatystów, wymyślają na Chwistka i bardzo ich niepokoi tajemnica istnienia i jedność w wielości. Ożywianie nieboszczyków, dziwne nazwy potraw i techniczne terminy współczesnej filozofii są właściwie tylko stylizacją. Można się do niej przyzwyczaić, po paru stronach lektury przyjmuje się ją jako rzecz naturalną. Duch pije wódkę, bardzo prosimy, widzieliśmy dziwniejsze rzeczy. Współczesny widz czy czytelnik, jako tako nacytany i oblatany, przyjmuje każdą konwencję, szybko w nią wchodzi i tylko patrzy, co z tego wyjdzie.

Słonimski bardzo dawno zauważył, że dziwność bawi, niepokoi albo straszy, kiedy wszystko naokoło dzieje się zupełnie normalnie. Prawdziwi wariaci nie opowiadają sobie dowcipów o wariatach. Woskowy manekin na wystawie fryzjerskiej, któremu wyciekło jedno oko, staje się przerażającą dopiero obok rzeczywistych grzebieni, zwykłych pilników i tubek z prawdziwym kremem do golenia. Nadrealiści tę zasadę wypróbowywali wielokrotnie. Na konkursie na przedmiot nadrealistyczny pierwszą nagrodę otrzymało żelazko z gwoździem wbitym od dołu w jego płaskie denko. Żelazko zostało ubezsensownione, ale pozostało jednak żelazkiem. Prawdziwym prekursorsstwem Witkacego są dla mnie te gwoździe wbite w naturalistyczne żelazka, albo raczej w naturalistyczny teatr. Na tym polega chyba główna frajda teatru Witkacego. Nie jest ona tylko estetyczna, ma swój sens filozoficzny, i — często na przekór teoriom autora — bardzo życiowy. Autor **Tumora Mózgowicza** a zwłaszcza **Szewców** miewał bardzo perfidnie drapieżne obserwacje z metafizycznym tłem i nadrealistycznymi gwoździami. Wynikały z tego nie tylko napięcia kierunkowe i dreszczyki. Jest w dramatach Witkacego strefa cienia — gorzkiej groteski i smutnego szyderstwa. I kawał współczesnej historii. Zwłaszcza w **Szewcach**.

Bezsens, aby zagrał, trafić musi na opór sytuacji życiowych. Inaczej staje się czystą zabawą. Zabawa może być doskonała i niewątpliwie taką doskonałą zabawę na tekście Witkacego pokazali nam Szajna i Laskowska. Witkacy lubił perwersję. Uważał ją obok rozjadrzenia formy za istotną cechę sztuki nowoczesnej. Zakonniczka w pysznym kornecie, z odsłoniętymi kolankami, jest perwersyjna. Zwłaszcza, kiedy gra ją Lucy na Winnicka. Jeszcze bardziej perwersyjna będzie w czarnym dezabilu z czarnym krzyżem na długim sznurze. Ale najbardziej perwersyjną, najbardziej surrealistyczną byłaby „prawdziwa“ zakonnica zrzucająca „prawdziwy“ habit. I najbardziej szokującą, najbardziej bluź-

Witkacy na pewno był wielkim prekursorem, ale dzisiaj dopiero widać, jak głęboko tkwił w młodopolszczyźnie. Buntował się przeciwko niej, parodiował ją i jej ulegał. Galeria jego postaci jest przecież niemal w całości sprzed półwiecza. Demony intelektu, demony chuci, samoudręczyciele, wampy, perwersyjne półdziewice z ziemiańskiego dworku, zakopjańskie hrabiny i wspaniali Mynherzy Peeperkorni z krakowskich knajp. I nad nimi wielka rewolucja niwelatorów, przez którą przeszli, albo przez którą przejdą.

Można Witkacego odczytywać bliżej przybyszewszczyzny albo bliżej Ionesco. Ja wolałbym odczytanie bliższe Ionesco. Bardziej racjonalistyczne, suche, drapieżne. Młodopolszczyzna, która dochodzi do swojego samo-uświadomienia i samo-zniszczenia, Zielony Balonik wyostrzony, filozoficzny i zasadniczy, naturalistyczny teatr, który sam siebie wyszydza i niszczy, który staje się anty-teatrem. I coraz powszechniejsza alienacja, która nas wszystkich zamienia w nadrealistyczne żelazko albo w kukłę.

Bardziej rewelacyjny wydaje mi się teatr Witkacego od jego teorii „czystej formy“ w teatrze. Szajna pokazał nam raczej czysty teatr niż tragifarsę. Ale na pewno pokazał wspaniale. Cudowny długi stół jak z Boschowskich wizji i niemal muzyczny efekt wołów opadających na końcowe wyjście umarłaków. I co za niezwykle zieloności. Pomysł Szajny walił się na aktorów, na tekst, na widzów. Demon trafił na demona. Chwalmy Szajnę.

Scenografia tłumila aktorów, ale jednocześnie wyzwalała w nich nowe, nieoczekiwane możliwości. Zwłaszcza doskonały, lekki, ironiczny i zupełnie różny od samego siebie był Kalinowski w roli Dyapanazego. Rozchichotane surrealistycznie i nieoczekiwane były również Wyszynska i Traczykówna jako dwie panny Nibekówny. Znacznie mniej podobali mi się Gołas i Gogolewski, jakoś nie bardzo mogli się zdecydować w którą stronę grają. Podobala mi się jeszcze Maria Klejdysz w roli widma matki, choć wolałbym, żeby bardziej straszyla. W końcu nie wyrzekajmy, bardzo interesujący spektakl.

Teatr Dramatyczny w Warszawie. Stanisław Ignacy Witkiewicz: „W małym dworku“ i „Wariata i zakonnica“. Reżyseria Wandy Laskowskiej. Scenografia Józefa Szajny. Premiera w grudniu 1959.